



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

„Taka wiosna, to żadna wiosna!” rzekł do mnie przed kilku dniami młodyzieniec pewien, na co mu miałem odpowiedzieć: „że takie mówienie, to jest kiepskie mówienie,” ale w tej chwili uwagę moją zwróciły, gdzieś z krain dalekich powracające bociany do gniazd swoich, by je znowu napęlić wesołym klekotem, szumem rozłożystych swych skrzydeł i kwileniem nowych pokoleń. Płynęły nisko, co dowodziło, że w wyższych sferach powietrza panowało jeszcze przenikliwe zimno; lot ich był powolny, ociężały, jakby miały skrzydła zmarznięte, albo długą podróżą zmęczone.

Zwykle widok powracającego ptactwa z swych leż zimowych, przemawiał do wyobraźni mojej i tełnał urokiem niewypowiedzianego czaru. Posyłało się wzrok bystry w rozwidnione lazury niebieskie i szukało się w nich ruchomych trójkątów, które się rozszerzały to zwężały, lecz nigdy z geometrycznej linii nie wyszły, poprawianej w pewnych odstępach czasu przez głównego wodza napowietrznej drużyny. A gdy zórawiowy klucz przeciągał i jęknął gdzieś w głębiach błękitów, oddałbym wszelką inną muzykę za ten najpierwszy śpiew wiosny, za ten głos tajemniczy, niedostrzeżonych często gajków, z góry ku nam płynący. Czy przesunęły przez sklep niebieski dzwoniące jęklawie zórawie, czy suchy kłopot dziobów bocianich zadrgał w srebrzystym powietrzu, czy, naśladowując głos popękanych dzwonek, dzikie gęgnęły gęsi: pierś szerszem podnosiła się westchnieniem, myśl snuła tęczowe marzenia i biegła w dal słoneczną uskrzydloną rozmodlona.

— Już lecą zórawie — wołało się radośnie, — szare gęsi na pola spadły — bocian szerokie koło nad

opuszczonem gniazdem swoim zatoczył... Witajcie zórawie, gęsi i bociany! Tuż, tuż wiosenka — tuż, tuż!

Zaden może astronom nie patrzył tak uważnie w błękity, nie śledził tak uporezywie biegu nowo odkrytej planety, jak to niegdyś patrzyło się na przeciągające raz w raz klucze powracającego ptactwa, i wysledzało malutki, ledwo dojrzany, cienki jak nitka trójkącik sunący się przez niezmierzone morze błękitów. Prawda, że człęk wówczas był stałym wsi mieszkańcem, że ażeby dostrzedz ruń zieleniącą, posłyszeć śpiew srebrzysty skowronka, nie potrzebował gdzieś daleko za rogatki udawać się miejskie. Mieszkańcy miast nie znają czarodziejstw budzącej się ze snu zimowego natury; uśmiechną się nawet, gdyby im powiedzieć, że przy pierwszym cieplejszym dniu wiosennym, światło wróbił jest koncertem nad koncertami. Wśród murów miejskich wiosna przychodzi i odchodzi niepostrzeżenie; nie wiemy, jak słowik głos swój nastraja, próbuje śpiewać, zaczyna i urywa, wprawia się, zanim rzuci czarami pieśni. A cóż już mówić o tych tysiącach strumieni, które Bóg wie z kąd cieka, popłatane, jak węże, spienione a szumiące. Pagórki się już mają młodą, delikatną zielenią traw, w dolinach jeszcze śnieg leży, dziurkowaty, jak gąbka, z której tylko jakaś dłoń niewidzialna wyciska strumyki wody. Ten szmer strumyków, śpiew zachwyconego skowronka, zielen pierwsza i pierwszy oddech wiosny — nam mieszczuchom nieznane są zupełnie, ci zaś, którzy się urodzili na bruku miejskim, wolą słuchać kupletów jakiejś operetki, niż — niezrozumiałej przez nich — pieśni rozbudzającej się ze snu zimowego natury.

Ja jednak, hołdując dawnemu zwyczajowi i nie chcąc zupełnie zapominać o tych głosach ziemi — przy pierwszym cieplejszym blasku słońca, opuszczam co chyżej miasto, udając się o ile można daleko — w pole.

Wraz z ptactwem wędrownem, których przybycie, bądź co bądź zwiastuje wiosnę, wyruszy-

ła pierwsza tego roku kampania nabożna na Jasną Górę, złożona ze 110 kurpiów. Kurpie rok rocznie najpierw odwiedzają Częstochowę. Zwykle do miejsca świętego przychodzą przed Wielkim czwartkiem i bawią do trzeciego dnia świąt Wielkiejnocy. Tegoroczną kompanię rozpoczęli pielgrzymi d. 26 Marca, u celu zaś stanęła d. 9-go b. m. Leżały więc śniegi jeszcze, gdy pątnicy w daleką wybierali się podróż. Po tej pierwszej pielgrzymce pójda inne i inne. Kto ma boleść w sercu, ciężar na duszy, komu się życie za smutnie spletało — śpieszy na Jasną Górę, po pociechę, pokrzepienie i moc. Gdybym był wysłuchany namówiłbym do takiej pielgrzymki i ludzi ze sfer innych. Wierzący, posłliby z myślą o Bogu, niedowiarkowie choćby dla oryginalności powędrowaliby, lecz kto wie jakimby wrócili? A tak nam z Bogiem żyć potrzeba, a tyle prób na Jasną Górę zanieść my mamy, tyle cierpień u stóp Królowej Niebios złożyć.

Czy wesoło wam Święta przeszły?

Wiem, że ludęk warszawski bawi się na „Nowym Ujazdowie,” a choć dni były chłodne i niedobra zima przypominała się jeszcze ludziom, niemały zastęp gości odwiedził miejsce zabaw. Przyzwyczajenie jest drugą naturą. Mimowoli to ten, to ten powie: „Chodźmy na Ujazdów” (do Mokotowa jeszcze przyzwyczaić się nie mogą) i, nie zważając na stan powietrza ani na odległość — wyruszają ludziska gromadkami, by przyjrzeć się młynom dyabelskim, pokręcić się na karuzeli, o mało na słupek nie pogramolić się.

Na „Mokotowie” czy „Ujazdowie nowym” nie dostrzegaliśmy zmian prawie żadnych. Dla żadnych silniejszych wrażeń, postawiono młyny dyabelskie, kto chciał by mu się w głowie zamęciło, miał aż osiemnaście karuzeli, zaś dwadzieścia i osiem huśtawek, mieli amatorowie napowietrznej jazdy. Nie brakło także i „Salonu artystycznego” menażery i nawet teatru „Varietés.” Było też kilka cyrków, w pewnych zaś odstępach czasu odbywały się zapasy „atletów,” które jednak nie pociągały

widzów. Największym powodzeniem cieszyły się restauracje i piwiarnie. Bądź co bądź, w pierwszych dwóch dniach świątecznych, przez Niedzielę i Poniedziałek, Mokotów odwiedziło około 65,000 ludzi. Zanotowania zaś szczególnie godne jest to, że bawiono się nadzwyczaj skromnie, gdyż kronika wypadków zapisała zaledwie kilka mało znaczących bójek, dwa spadnięcia z huśtawki i—cztery tylko kradzieże.

Gdy wszyscy ci, którzy mogli, bawili się i spożywali święcone.—Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności nie zapomniało o pokrzywdzonych przez los. W dniu uroczystym Zmartwychwstania Odkupiciela świata, chleb mieli i najbiedniejsi z najbiedniejszych.

Już w wielką Sobotę o g. 10-ej rano staraniem opiekuna cyrkulu IX-go, w domu Nr 8 w Alei Jerolimskiej obdarzono święconem pięćdziesiąt rodzin ubogich. Tegoż samego dnia o g. 11-ej z rana w lokalu ochrony VIII-ej przy ulicy Ciepłej dwiestu rodzinom, w cyrkulach I-ym, II-im i III-im dwiestu czterdziestu, przy ulicy Smoczej Nr 43 dwiestu, a w cyrkule V-ym pięćdziesięciu rodzinom ubogim rozdano święcone. Niezwykły widok przedstawiała w Wielką Sobotę „kuchnia obiadów bezpłatnych” przy ulicy Drewnianej. W odświętnie przystrojonych dwóch izbach zastawiono stoły obfitem święconem, sporządzonem dla dwiestu biednych rodzin z Powiśla, dzięki staraniom i zapobiegliwości prezesa wydziału wsparć p. Franciszka Rydzikowskiego, oraz pracy siostry miłosierdzia Zdzisławy.

W pierwsze święto, w zakładzie starców i kalek w gmachu W. T. D. w obec członków zarządu i członków towarzystwa zasiadło do stołów zastawionych święconem trzysta pensjonarzy. Następnie podano święcone w przytułku sierot dziewcząt, gdzie po odśpiewaniu „Alleluja” zasiadło do uczy ośmdziesiąt wychowanek. Wreszcie w przytułku sierot, w gmachu po-dominikańskim urządzono święcone dla 180 wychowanców, w warsztatach naukowo-rzemieślniczych dla wszystkich uczniów i w sali opieki, staraniem siostry miłosierdzia Rakowskiej dla sześćdziesięciu wychowanców zakładu sierot chłopców. W drugie święto Wielkanocne zebrało się w podwórzu hotelu Brühlowskiego przeszło sto rodzin, które równie obdarzono święconem. Tak więc około 1,800 rodzin, w dniu wielkiego święta nakarmionych zostało, a okazała ta ilość wiele mówi o znacznej działalności W. T. D.

Obecnie *tout Varsovie* jest pod wrażeniem muzyki młodzieżowego pianisty, znanego już światu całemu, Józefa Hofmana. Cudowne dziecko przestało już być dzieckiem, lecz—bądź co bądź—jest tylko siedemnastoletnim młodzieniaszkiem. Przybył jednak do Syreniego grodu z nazwiskiem rozgłośnym, które zdobył we wszystkich główniejszych miastach europejskich.

Cudowny dzieciak, po powrocie swym z Ameryki przed laty dziewięciu jeszeze, gdzie grał swoją już budził podziw w Yankesach—usnął się z przed oczu ludzi, ażeby oddać się pracy muzycznej jako też i wykształceniu swojego umysłu. Studiował więc muzykę pod kierunkiem Rubinsteina, którego też ulubieńcem zostawał. Dopiero ubiegłej jesieni wystąpił w Anglii jako wirtuoz i od razu, wśród najznakomitszych pianistów współczesnych pierwszorzędnym zajął stanowisko.

Pierwszy występ Hofmana w Warszawie był na rzecz *Szwalni V*. Sala ratusza przepełniona—zachwył niezmiernie. Hofman nie tylko jest znakomitym wykonawcą utworów obcych, ale dał się też poznać i jako kompozytor. Penieważ wkrótce z własnym wystąpi koncertem i obfitym programem—szczegółowe sprawozdanie o grze młodzieniaszka zostawiamy na później, obecnie zaznaczając tylko, że nie zawsze „dzieci cudowne” zawodzą nadzieje rodziców i ogółu, czemu zaprzeczył Józio Hofman.

Ciekawą bardzo wiadomość podał „Berliner Tagblatt.” Według doniesień tego dziennika, wyspa Cypr stała się niedawno widownią cudów, które dotąd niepokoją umysły niedowiarków odwiedzających święte źródło w Lourdes. Oto, co powiada dziennik wspomniany:

Przez małą wioszcynę Agi-Deka, w pobliżu której znajdują się słynne labirynty, przepływa błotnista rzeczka wydzielająca won przykrą, która też, jak

dotąd była rozsądnikiem różnych chorobotwórczych zarazków. Strumień ten ma dwa metry głębokości i otacza w okrag wioskę.

Pewnej nocy syn jednego z mieszkańców Agi-Deki, chory na febrę, w chwili kiedy go targaly dreszcze i przejmował ból straszny w całym ciele, wijąc się w cierpieniach, ujrzał postać ciemną niewiasty, która się do niego zbliżyła i wyciągając rękę, rzekła:

— Wstań dziecię i ubierz się! Idź do strumienia i wiedz, że kiedy się zanurzysz w wodę, opuszczając straszne cierpienia. Wstań i idź!

Widmo znikło, chłopiec wstał i poszedł do strumienia, gdzie w zimnej wykapał się wodzie. Zdziwienie ogarnęło wszystkich, gdy nazajutrz ujrzeli chorego chłopca, wyglądającego zupełnie zdrowo.

Wiadomość wkrótce rozbiegła się na wszystkie strony i zewsząd napływały tłumy chorych, znajdując w wodzie błotnistej strumienia zdrowie i ratunek.

Naliczono dotąd z górą sto uzdrowień cudownych w Agi-Deka. Lud opowiada sobie, że przed 1,600 laty, tyran Detius na tem miejscu rozkazał zamordować dziesięciu chrześcian-męczenników; do dziś dnia pokazują w kaplicy w Agi-Deka płytę marmurową, na której, według tradycyi, klęczeli owi męczennicy, kiedy na ich głowy spadł miecz katowski.

Prawdą-li jest czy zmyśleniem owa wiadomość dziennikarska? Światło się nie ukryje pod korcem pierwej czy później, lecz prawda na wierzch wypływać musi.

Pragnęlibyśmy szczerze, ażeby ta wiadomość cudowna nie była bajką. Kiedy a kiedy, to obecnie świat potrzebuje cudu. Cudowny napis: *in hoc signo vinces*, zataił się już dawno w błękitach, ludzie zapomnieli o Bogu, o miłości i przebaczeniu. Wspomnienie Imienia Jego stało się czczym frazesem, ubóstwianą się siłą, w pogardzie prawo Boże. Świat się odrodzić musi a odrodzić tylko przez wiarę, lecz ażeby dziś wierzył, potrzeba, by mu widome cud przed oczyma błysnął. Chrystus się narodził w chwili gdy „bogi i ludzie szaleli” dziś nie ten szal pogański ogarnął świat, ale powolność gnicia, zanurzanie się w jakąś kąpiel błotną, coś, co prze-raża dusze czystsze i prawe serca w posępną rozpacz nurza.

Lecz precz zwatpienie, jest Bóg, są—i będą cuda. Zawiodłaś nas, wiedz, nie opuszczaj—wiaro!

Mój Boże! jakżem daleko odbiegł od drogi, po której zwykle chodzę z wami, szanowni czytelnicy. Wiem, że nie dogodziłem wam, mówiąc o zgniliznie świata, bo wolicie inną piosenkę, któraby pewną otuchą napęlić mogła serca wasze.

Ach! rozczarowywać nie miałem zamiaru.

Niemą tak ludzi złych, w których byście nie dostrzegli jakiegoś uczciwości rysu, nie masz tak czasów złych, którym by nie przyświecał choć słabiechny promyczek słońca. Wiek zaś, który końca swojego dobiega, dochodzi, czy dopełza—będzie w historii jednym z najciekawszych wieków. Rozpoczął się gromami wojen, kończy się uzbrojonym spokojem; zaczął się od hasła „praw człowieka” wywieszanych na swoich sztandarach, kończy się na wstrętnem: *ausrotten*—i postawieniu bismarkowskiej siły przed prawem. Widzieliśmy wypowiedzenie walki Bogu i zwracanie się do tego Boga; zaprzeczenie nieśmiertelności duszy i cudów—i znów wiarę w medyumiczne zjawiska, odkrycie czegoś niewiadomego, może straconej duszy. Nieraz świat zaparł się godności własnej, nieraz ta godność za-drwiła ze śmiechu świata, w nierozpłątany węzeł splatało się wszystko: zło i dobro, szczytność i podłość, duma i służalczość nikiemna. W olbrzymim kotle ludzkości coś się gotuje i warzy; pracuje tysiąc rąk, tysiąc umysłów, bądź co bądź, wierzymy, że dla przyszłej doskonałości świata.

Zwycięży piękno, prawda i dobro—te trzy siostrzyce, trzy gwiazdy najpiękniejsze, których czasami blask się przyćmi, ale nigdy nie zgaśnie.

Ach! jak trudno powracać do zwykłych spraw codziennego życia, pozwolimy przed tem sobie na szerszej pobujać przestrzeni. Dokąd teraz zawrócić kroki swoje, by znów zbyt wielkiego przeskoku nie zrobić?

Z pomocą nam przyjdzie sztuka. Obojętne są jej wszystkie utrapienia ludzkie, ona przeważnie

kocho się w barwach i światłach i często kojąco na smutne serce oddziaływa.

Zajdźmy więc do Salonu Towarzystwa sztuk pięknych.

Od trzech już tygodni znajdują się na naszej Wystawie obrazy i szkice z natury pana Nałęcza, nieznanego dotąd u nas malarza, który po długoletnich studiach za granicą, zawitał do naszego miasta i podzielił się z nami swoim duchowym dorobkiem.

Nałęcz urodził się w gubernii kijowskiej, w Kijowie też ukończył nauki. Czując zaś pociąg do malarstwa, wyjechał do Petersburga, gdzie ukończywszy akademią, dla dalszego kształcenia udał się do Dusseldorfu, a następnie do Paryża. Ulubionym przedmiotem naszego malarza są krajobrazy. Rozkochany jest w naturze i jej pięknościach, mówi o niej jak o najdroższej kołance, pod urokiem jej czarów, zapomina o troskach życia. Jest on *par excellence* poetą. Zachwyca go szczególnie morze i posępne urwiska norweskich fjordów. Ba! coś jest piękniejszego jak ta niezmierna przestrzeń wód w rozlicznych przejawach swoich, zmieniająca się co chwila, czarująca spokojem i groźna szaleń burz; a cóż tak głęboko przemówić może do duszy malarza-poety, jak posępność norweskich fjordów z krystaliczną głębokością wód swoich, ze stokami ciemnych granitów, po których spływają, jak roztopione smugi srebra, wąskie nici niewiadomo z kąd biorących się wodospadów. Słuchając opowieści malarza o tych cudach przyrody i widząc je odtworzone wprawną ręką artysty, rozumiemy, że sagi skandynawskie mogły tylko urodzić się wśród tych skał posępnych, drżących szelestem, zewsząd owianych mgłą opalów, ogromną ciszą spowitych lub gromami burz wstrząsanych do posad swoich.

Pan Nałęcz w obrazach i szkicach przedstawił nam trzy etapy swej malarskiej działalności, poczynawszy od roku 1891, a skończywszy w r. 1893. Możemy tu niejako dążyć za rozwojem jego talentu, widzieć, jakim krokiem dąży po drodze udoskonalenia się i mieć pewność, że dojdzie do szczytu.

Szkice i obrazy pięknych krajobrazów krymskich, zamykają okres petersburski i dusseldorfski; norweskich, szwajcarskich i holenderskich—okres paryżki. Oczywiście, że ostatni daje nam rzeczy prawdziwie piękne. Zatrzymaliśmy się prze trzema obrazami, które do nas przemówiły doskonałym wykończeniem i wybornym odtworzeniem natury.

Na dwóch obrazach wziętych z wybrzeży Holandyi, malarz przedstawia dwa fenomena natury: poranek na morzu i—chwilę nadejścia burzy. Miejsceowość jest ta sama, tu i tam stoją ten sam okręt i łódź rybacka, w oddali innym tylko jest morze i niebo.

Poranek—lekkie mgły okrywają horyzont daleki, morze spokojne zaledwo drży kołyszącymi się z lekka falami. Za mgłami wschodzi słońce. Nie widać ognistej tarczy gwiazdy dziennej, lecz już się krwawią obłoki, przez mgły sączą się czerwone blaski i purpurą malują powierzchnię morza. Uroczą ciszą wprost przemawia do ciebie niewysłowionym spokojem. Za chwilę rozsuna się mgły i wspaniały glob słońca snopy światła z błękitów rzuci: Tę chwilę przeczuwa morze, czujesz oddech jego wielki, głęboki i sam oddychasz piersią pełną, technieniem spokojnem a pełnem rozkoszy. Na tle czerwieniejących mgieł odbija się wesoło duży kadłub okrętu i łódź rybacka. Nie trwoży ich nic, za chwilę może w dal popłyną gnane przyjaznym wiatrem, słonecznem ciepłem ogrzane.

Spójrz teraz na obraz drugi.

Ten sam okręt i łódź ta sama to samo zajmują miejsce. Stoją jak i przedtem nieruchomie, lecz trwoga cię ogarnia o los tych statków. Biała masa chmur zbitych, szalonym wichrem pędzona z ogromnej zbliża się dali. W powietrzu czujesz dramat, mowy ulatują precz. Do łodzi i okrętu nie doszły jeszcze niszczące pociski wiatru, burza daleko, ale już jest w chmurach, które posępny cień swój rzucają na nieobjętą okiem przestrzeń morską. Tu jeszcze cisza, lecz cisza okropna. Za chwilę wszystko się zmieni: morze się zmarszczyło pierwszym fal drgnięciem—i wola artysty kazała mu zostać w tem dreszczu grozy.

Amator-znawca, nabywając obraz jeden—i drugi może nabyć. Dwa przeciwieństwa: spokoju i przestachu, są tu mistrzowsko oddane.

Najpiękniejszym dla nas jest *Norøfjord*. Toniesz duszą w posępnej, niezamąconej niczem ciszy olbrzymich skał, nad którymi lekkie unoszą się mgły i wieńcem otaczają czoła gór omszonych. Przezroczystość wody niezrównana, czujesz jej chłód i głębi bezdenność. Potężny okręt angielski lilipucio wygląda w otoczeniu tych gmachów granitowych, na tle zielonych traw, jak punkcik mały majaczy czerwona chata norwęgzyka. Owiewa ciebie smutek łagodny, ogarnia cisza posępnego uroku.

Przedstawiony Norøfjord jest jedynym, w którym zagłębia się na mil kilkadziesiąt największy oceaniczny okręt, nie zważając na wagłość cieśniny, którą, stanawszy w poprzek, zagrozić swoim kadłubem może. Głębokość tu dna równa się największej głębokości morza—jest to najpiękniejszy z fjordów norweskich.

Pan Nałęcz opuszcza już Warszawę, nierozprzedane szkice i obrazy zabiera z sobą i udaje się w podróż artystyczną na brzegi Anglii i Irlandyi. Niech jedzie i niech wraca i nowy liść dołoży do i tak już bogatego wieńca sztuki swojej.

Za długo zabawiłem się przed obrazami pana Nałęcza, tak, że zabrało mi czasu do obejrzenia całości wystawy, na której parę nowych pojawiło się obrazów. Zwróciłem jednak baczniejszą uwagę, na bardzo ładnie malowaną sielankę p. Ciemojewskiego.

Dzień, rozkoszny dzień na wsi pełen światła, barw i woni dodaje ochoty do figlów i zabaw. To też, u płotu stojąc w rozkosznym wygięciu kibici, uśmiecha się figlarnie młoda, wiejska dziewczyna do zbliżającego się w dali parobczaka. Obraz jest pełen życia i prawdy, miły w pomysle, dobry w wykonaniu.

Pan Wojciech Gerson dał nam tryptyk, przedstawiający Syrenę w trzech odmianach: Syrena miłosierna, Syrena herbowna i Syrena powabna. Pierwsza, w pięknej postaci kobiecej, wyszedłszy z wód głębi, przyciąga do siebie rzucane na fale dzieciątko śpiące w koszyku, nad którym unoszą się emblematyczne pastacie miłosierdzia: anioł wysypujący chleb z kosza i siostra miłosierdzia o skrzydłach białych. Środkowe miejsce tryptyku zajmuje Syrena w tarczach i mieczem podniesionym do góry. Ta postać odmalowaną jest doskonale, ma ciało piękne, twa z śliczną a poważną i imponuje rycerskością. Syrena powabna nam się powabną nie wydała. Bawi się w otoczeniu naszej dziatwy, która puszcza bańki mydlane i harekuje na p. lnych konikach.

Bądź co bądź pomysł jest oryginalny, choć treść obrazu dość zawila.

Musimy to wspomnieć, że zbliżający się miesiąc Maj da nam bardzo miłą niespodziankę. Będzie nią w salach ratusza wystawa obrazów, własność *Muzeum sztuk pięknych* istniejącego niegdyś w pałacu Paca przy ulicy Miodowej, gdzie obecnie znajduje się sąd okręgowy. Obrazy te od dłuższego czasu spoczywały w składach, dziś wydobyte, niemałą przyjemność ogółowi sprawią. Nie znamy tego zbioru, a kto wie, czy tam nie jedno nie ukrywa się arcydzieło.

W szeregu odczytów urządzonych przez komitet damski warszawskiego towarzystwa opieki nad zwierzętami w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa, jako prelegentka wystąpi panna Zofia Joteyko dr. nauk przyrodzonych, która wypowie „O potrzebie wiadomości chemicznych dla rolników“, dochód z odczytu przypadającego na dzień 28 b. m. przeznaczony jest na rozdawnictwo książeczek między ludem wiejskim i miejskim. Cel sympatyczny, jako też i interesujący występ młodej doktorki, sądzymy, że ściągnie nie małą publiczność. Za tem—do widzenia w Sali muzeum.

22

BLUSZCZ

OBRAZEK Z ŻYCIA RODZINY

przez

Maryana Gawalewicz.

(Dokończenie).

Gdyby go były w tej chwili widziały jego wielbielki, których listy palił z miną tak obojętną i lekceważącą, jakby to były proste wióry, nie wyznania gorących uczuć i zakłęcia miłosne, byłyby srogo ukarane za swoją łatwowierność i upokorzone głęboko.

Ogień syczał, drgał, przewijał się pomiędzy kartkami i wysuwał z drzwiczek swoje łakome języki, jakby się upominał o więcej tak lekkiej strawy, a Walery wrzucał w płomień jeden list za drugim, wszystkie zeschnięte kwiatki, które mu z bukietów i od gorsu ofiarowywały te piękne i zalotne panie w chwilach entuzjazmu i rozbałamucenia.

Ostatnią wziął do rąk fotografię Bianki i zatrzymał przez chwilę wzrok na niej, jakgdyby się wahał, czy skazać ją również na całopalenie; wyzywająca jej mina zdawała się natrząsać i naigrawać z niego, jakby mówiła doń:

— Możesz mnie spalić, zniszczyć, podrzeć, zrobić, co ci się podoba ze mną... nie dbam dziś o to. Jesteś kiepl... po tobie był już trzeci, którego kopnęłam moją zgrabną nóżką a będzie jeszcze kopa takich samych duków.

Zachmurzył się i rozdarł fotografię na cztery części, potem ją wrzucił w piec niemal ze złością.

— Szkoda, że ona tego nie widzi!—pomyślał.

„Ona“ miało tym razem znaczyć: żona.

Wyjął świeżego papierosa i zapalił go jakąś skwierzącą szypułką żółtkiej i zeschłej róży, niby zwyczajną zapalką, nie pamiętając, że niegdyś kwiat ten może przyciskał do ust i sentymentalnie zmruczał oczy, gdy na to patrzyła jakaś inna „ona“, dla której wówczas poświęcał żonę tak samo, jak w tej chwili niby dla żony poświęcał pamiątki dawnych miłości.

— No, teraz jestem w porządku!—powiedział sobie, opróżniwszy całą szufladę i wstał tak zadowolony, jakby się pozbył wszystkich zaległości swojego serca i sumienia.

Czuł się lżejszym, swobodniejszym, oczyszczonym moralnie. Zdawało mu się, że teraz po takim zadosyćuczynieniu, miałby zupełne prawo stanąć przed żoną, popatrzeć jej w oczy i zaśpiewać,—koniecznie zaśpiewać—bohaterskie *recitativo*:

— Spójrz, com zrobił dla ciebie!..

Ale w tej chwili właśnie Wicunia czem innem zupełnie była zajęta; u babki Lidzkiej, układała dzieci do snu i kłęczała przy ich łóżeczku, odma-wiając, jak co wieczór z niemi, modlitewkę na „dobranoc Bozi.“

Kazio i Munio w koszulkach, z rączkami złożonymi, na pościeli kłęzący powtarzali za matką słowa modlitwy, poziewając lekko, ale mimo to z nabożeństwem naiwnych dziecięcych dusz, wznosząc oczy do obrazu Pana Jezusa rozpiętego na krzyżu, przed którym paliła się taka sama lampka, jak u nich w domu w ich pokoju sypialnym; tylko że u babci obraz był stary i od starości poczerniał tak, iż prawie nie było na nim widać wyraźnie figury Ukrzyżowanego Zbawiciela, błyszczały na nim jedynie główki świateł i czerwone krople krwi, spływające z pod cierniowej korony.

Jakiś lęk przejmował dzieci, gdy patrzyły na ten święty obraz, powagą swoją sprawiający na nie wrażenie czegoś tajemniczego.

Modliły się też z przejęciem i jakby zaleknieniem jakimś, a kiedy po pacierzu dotykały usteczkami przebitych stóp Chrystusowych, zamykały oczęta i przybierały minę tak skruszoną i uroczystą, z jaką nikogo w życiu dotąd nie całowały.

Kiedy się ułożyły wreszcie ponakrywane kołderkami i otulone rękoma matki, Tatusi obejmując jej szyję pieszczotliwym uściskiem na dobranoc, spytał:

— Mamusi, to jutro Wielkanoc?...

— Tak, moje dziecko, — odrzekła, — nie słyszałaś, jak dzwonili na rezurekcyę?...

— Słyszałam, ale dlaczego nam babcia nie przyniosła baranka?... czy tego roku będzie Wielkanoc bez baranka?

— Będzie, będzie baranek... jutro, tylko teraz spij i bądź grzeczny.

Tak była przyzwyczajoną do tego, że babcia Lidzka palmę, a babcia Grosiecka baranka dzieciom przynosiła przed świętami, iż nie pomyślała nawet w zmienionej sytuacji o sprawieniu malcom tej przyjemności, którą oni uważali za swój przywilej nienaruszony.

Upomnienie się Tatusia było jakby wyrzutem dla matki.

Usiadła przy łóżeczku swoich synków, podparła głowę na rękę i zamyśliła się, czekając aż usną. Jak ten dobry anioł stróż spędzała zawsze wieczorną chwilę przy ich boku a dzieci tak do tego przywykły, że bez mamusi oczu zmrzyć nie chciały.

W pokoiku zrobiło się cicho, tylko zgłuszony turkot dorożek dochodził od ulicy i zdaleka gdzieś odgłos rezurekcyjnych dzwonów rozpyływał się jeszcze w powietrzu.

Siedziała tak z sercem pełnym smutku i uroczystego nastroju.

Nie chciało jej się nawet płakać, ale miała duszę jakby z krzyża zdjętą, zbitą, poranioną, skłutą cierniami i tak obolałą, że spokój wydawał się jej edynem szczęściem w tej chwili i jedynym był jej pożądaniem.

Gdyby tak teraz umarła, nie byłaby chciała za nie w świecie zmartwychwstać do tego samego życia, które ją lekkim przejmowało...

Była samą w domu, bo babka ze Stasią, Kroto-wiczem i jego siostrą, wybrała się na rezurekcyę.

Ona zaś została przy dzieciach, pragnąc tę uroczystą chwilę z niemi razem spędzić.

Siedziała dosyć długo już w tej ciszy sypialnego pokoju jej trojga dzieci, gdy we drzwiach stanęła służa z miną jakąś zakłopotaną i chrząkając odezwała się nieśmiało:

— Proszę pani... może pani pozwoli...

— Czego chcesz?...

— Bo to... starsza pani przyszła.

— To i cóż?... Każ podać samowar.

— Kiedy bo to... nie nasza starsza pani, tylko... naszego pana...

W pierwszej chwili zdawało jej się, że się prze-słyszała.

Grosiecka u niej, teraz o tak późnej porze?... co się stało?... co to być może?... czego ona chce?...

Podniosła się, jak sprężyna podrzucona, ale nogi się pod nią zatrzęsły i upadła napowrót na krzesło.

Serce jej uderzyło tak gwałtownie, że je aż ręką przyciskać musiała.

— Starsza pani?—pytała—przyszła?... do mnie?... może do dzieci?...

— Nie, pytała się o panią, jest tu obok; poprosić?...

Przegarnęła sobie ręką włosy nad czołem i zebrawszy siły, po chwili odrzekła:

— Ja zaraz tam wyjdę.

Pierwsza zaś myśl, jaka jej przyszła do głowy, była:

— Może Walery zachorował...

I mimo całą urażę, jaką do męża miała, serce ścisnęło się jej boleśnie, zaniepokojone o jego zdrowie.

Rzuciła miłosierne spojrzenie na Chrystusa, wi-szącego na ścianie, jakgdyby wzywała Jego pomocy i wyszła cichutko z pokoju.

Grosiecka siedziała w przybocznym saloniku, który właściwie był pracownią Stasi i czekała.

Miała minę zakłopotaną, zmieszaną, pokorną jakąś i cierpiącą.

Nie była pewną, jakiego dozna przyjęcia ze strony synowej, więc aż drgnęła, gdy usłyszała jej głos we drzwiach:

— Mama chciała się widzieć ze mną?...

Poruszyła się, nie wstawszy jednak z krzesła; słowa jej uwięzły w gardle, oczy tylko krótkimi spojrzeniami obrzucały Wicunię i opadały znowu ku ziemi. Próbowwała się uśmiechnąć, ale usta jej drżały i przybierały tylko jakiś grymas nieładny.

— Ha, no cóż?... — zaczęła — nie przyszła góra do Mahometa, to musi Mahomet do góry... Pani o mnie zupełnie zapomniawsza... nawet... nawet dzieci nie były mi świąt powinszować, to... tego...

Wicunię lży w oczach stanęły; przez chwilę walczyła jeszcze z jakimś uczuciem, ale ten drżący, niepewny, rozrzewniony głos świekry podzielał na nią.

Zbliżyła się do niej i całując ją w rękę z uszanowaniem, rzekła jakby z wyrzutem:

— Dłaczegóż mama do mnie mówi pani?...

Stara ją w głowę pocałowała delikatnie.

— Ha, no bo nie wiem, jakos... niby... po tem wszystkim...

Rozpłakała się, ale szybko otarła oczy rękawiczką i z pod okrywki wyjęła zawiniątko w angielskiej bibułce.

— Przyniosłam... dla dzieci... jak co roku,

Podawała synowej nieśmiało cukrowego baranka i mówiła dalej:

— Jutro przecież Wielkanoc. Cały świat obchodzi takie uroczyste święto, więc jakżeżby... do najgorszego wroga nie można mieć żalu, a nie dopiero... Niech Wicunia weźmie. Dzieci pewnie już śpią, prawda?... Szkoda, chciałam je zobaczyć, bo... bo i ojciec także kazał ucałować Tatusia i Munię, a Pole...

Wicunia stała przed nią z głową spuszczoną, z rękoma splecionymi, usta zaciskając, aby nie wybuchnąć płaczem; dławiono ją w gardle, dusiło w piersiach, szarpało w sercu, ale się jeszcze trzymała.

Nie chciała się poddawać.

— Dziękuję mamie, — zdobyła się na te dwa słowa z godnością i pozornym spokojem.

Wzięła baranka i postawiła go na stole, potem usiadła i rozmyślała nad czemś.

Stara oczy i nos wycierała w milczeniu.

Nie mówiły do siebie dłuższą chwilę, jakgdyby cała rozmowa wyczerpała się w tych kilku słowach, które ze sobą dotąd zamieniły.

Wreszcie Grosiecka westchnąwszy, z pod oka spojrzała na synową i z odcieniem współczucia zaczęła pierwsza:

— Ale Wicunia zmierzniała!... no, no!... od czasu, jakieśmy się nie widzieli!...

Twarz jej się skrzywiła i drgać zaczęła od nowego płaczu.

— I on także, on także się zmienił, nie ten sam człowiek! — dodała boleśnie, nie śmiąc wymienić imienia syna. — A co ja się namartwiłam, nagryzłam przez ten czas!... Dzieci przynajmniej zdrowe?... Żeby też mi Wicunia nie przysłała ani razu dzieci; czy to się godziło?... przecież ja babka!... Moje robaki kochane!... One pewnie babkę zapomniały już, co?... pamiętają?... nie pytały się o babkę?... Nawet ich spotkać nigdzie nie mogłam. A on rady sobie bez nich dać nie może, biedaczysko! — wtrąciła znowu na własną odpowiedzialność, choć jej do tego syn nie upoważniał.

Chciała dla niego usposobić jaknajlepiej synową i pozyskać jej względy; wiedziała, że w ten sposób najłatwiej trafi do celu.

Wicunia słuchała, nie przerywając jej ani jednym słowem.

Starą to jej milczenie mieszało.

— Ale się też Wicunia zawzięła na nas wszystkich, — mówiła w dalszym ciągu, — jakże to tak można!... nie pokazać się nawet, nie napisać ani słówka do matki. Ja przecież mogłabym nie nie widzieć do tej pory o co wam poszło, a ja przecież matka i Wicunia wie dobrze, że w takim wypadku, to kobiety najlepiej się ze sobą rozumieją. Ja Walerka kocham, to prawda, bo jakżeby nie miała kochać własnego dziecka?... ale z tem wszystkim muszę być sprawiedliwą, powinnam wiedzieć co się dzieje. Wicunia jest także, jak moje dziecko, Wi-

cunia wie, że ja Wicunię, jak córkę kochałam, a że tam czasem było coś między wami, no to trudno; ja jestem starsza, ja mogłabym mieć starszą córkę od Wicuni, to mnie trzeba wybaczyć, bo ja matka. Ot, słowo się nieraz powie w pasy, albo w żalu, to trudno, ale co serce to serce. Ludzie się nawet kłócą między sobą, ale się kochają.

Mówiła w ten sposób jeszcze dłużej, niby się tłumacząc, niby żaląc, powtarzała jednak ciągle:

— Jesteśmy przecież swoi, należymy do jednej rodziny, tośmy powinni żyć w zgodzie ze sobą; Chrystus Pan swoim katom przebaczył, to i my ludzie powinniśmy sobie wzajemnie urazy wszelkie zapomnieć. Albo to życie wieczne!... wszyscy staniemy prędzej czy później na sądzie Boskim i będziemy musieli potem odpowiadać za nasze uczynki.

Zebrało jej się na ton moralizatorski i stawała się coraz wymowniejszą.

Wicunia z pochyloną głową słuchała ciągle tych nauk i rozumowań, czekając, do czego w ostatecznej konkluzji dojdzie świekra; ta zaś rozgrzewała się coraz więcej swoimi słowami, aż w końcu skrzyżowała ręce na piersiach i rzekła:

— Widzi Wicunia, ja jestem starsza o tyle, ja mam już siwe włosy i nie dużo mi się już należy a jednak pierwsza przyszłam do Wicuni, bo w takie wielkie święto, kiedy Zbawiciel nasz z grobu zmartwychwstał i wszystkim nam winy i urazy przebaczył sobie wzajemnie kazał, jak On na krzyżu przebaczył, nie godzi się gniewać nikomu. Ja matka a ja przychodzę Wicuni rękę podać.

Wyciągnęła ku niej dłoń i ze łzami w oczach powiedziała to jakoś szczerze i dobroduszenie tak, że Wicunię samem brzmieniem głosu rozrzewniła.

— Ależ moja mamo, ja przecież nie mam do mamy żadnej urazy, — rzekła, pochylając się do ręki świekry i całując ją z szacunkiem.

— Bo moje dziecko, za cóż byś miała mieć urazę do mnie? — przerwała jej Grosiecka; — z Walerkiem to co innego. Ja tam dobrze nie wiem, co wy tam między sobą macie, ale to wiem, że to obraża Boska. Ja byłam u spowiedzi i ksiądz mi mówił...

Zacięła się, nie chcąc zdaleko doprowadzać swojej szczerości.

— Et, co tam dużo o tem gadać! — przerwała sobie; — nieszczęście jest i tyle. A kto na tem najwięcej cierpi?... i Wicunia wygląda, jak po chorobie i on biedaczysko miejsca sobie znaleźć nie może. Do czego to podobne!... A dzieci, .. Wicunia pomyślała, co też te biedne dzieci poczną?... A ja Wicuni teraz powiem, czego nikomu nigdy w życiu bym nie powiedziała. Ja miałam także męża i świeć Panie nad jego duszą! nieraz był krzyż ciężki z nim do znoszenia.

Przysunęła się do niej bliżej, wzięła ją za ramię i ciszej, w tajemnicy, prawie szeptem dokończyła:

— Wicunia nie wie o tem, bo nikt nie wie tego, że kiedy byłam w Wicuni wieku, to mój nieboszyk zasłapał się w jakiejś tam tancerce, z cyrku do tego, i pojechał za nią w świat, i pół roku nie dał znaku życia o sobie. A ja wtedy miałam Walerka jednego tylko i byłam sama, bez nikogo, sierota... Cóż miałam zrobić?... Porzucił mnie, zostawił na bruku z dzieckiem. A Wicunia wie, co ja zrobiłam? Zabrałam Walerka i pojechałam za nim a kiedy go znalazłam, to mu tylko to dziecko przed oczyma postawiłam i powiedziałam: „Czy ty się człowieku kary Boga nie boisz?... któż ci go wychowa, kto z niego zrobi człowieka?... Przecież to o mnie nie chodzi, mnie mógłbyś porzucić, jeśli ci się sprzykrzyło, ale tyś ojciec, ty masz obowiązki, za które odpowiesz na tym i na tamtych świecieli!...“ Tak mu wtedy powiedziałam, widzi Wicunia, a on ze wstępu poczerwieniał jak rak, rozbechał się jak dziecko i padł mi do nóg i całować mnie zaczął, przepraszać, i zaklinać na wszystkie świętości. O, co ja wtedy przeszłam, to jeden Bóg wie tylko!...

Głos jej złamał od żalości i bólu, jakie w niej te wspomnienia pogrzebane na samem dnie serca zbudziły.

— Ja nikogo wtedy nie miałam, tylko mego Walerka i dla niego zrobiłam wszelkie poświęcenia, zaparłam się wszystkiego, aby go ojca nie pozbawiać, choć Bóg widział, ile mnie to kosztowało.

Odwrociła głowę i po cichu płakała, ale jakoś inaczej, rzewniej, smutniej, niż przed tem.

Żal i wstyd zapełniał jej serce, które w takiej chwili otworzyła po raz pierwszy przed synową, aby ją doświadczeniem własnego życia przekonać.

— Nikt, nikt nie wiedział, ile ja się goryczy najałam, bo cóż miałam się ludziom spowiadać i skarżyć! — szeptała, jakby do siebie, — albo to ludzie co pomagają?... po co mieli się jeszcze natrząsać!... Schowałam to wszystko o tu, głęboko i znosiłam. Prawda, że nieboszyk od tej pory się zmienił i chciał mi tę krzywdę wynagrodzić, bo się wstydił i w oczy mi spojrzeć nie śmiał, ale cóż?... albo to można tak łatwo zapomnieć?... Cóż miałam robić?... udawałam, że nie pamiętam, ale w sercu to siedziało, jak gwoździł złamany. Niech tam!... tyle lat już... to i przeszło. On tam dawno na Boskim sądzie, a ja mu dawno przebaczyłam.

Zrobiła nieznacznie krzyżyk na piersiach i zwróciła się do synowej.

— Ot, widzi Wicunia, że nie Wicunia jedna!... a zresztą, Walerk Wicuni nie porzucił nigdy, — jaki tam był to był, ale nie porzucił, a jego nieboszyk ojciec...

Łzy jej mowę zatamowały, nie dokończyła, lecz nagle przypomniawszy coś sobie, pochylili się ku synowej i z wystraszoną miną zaczęła ją prosić:

— Tylko moja Wicuniu, moja droga, niechże Bóg broni, aby się o tem kto dowiedział!... Ja przed Wicunią w zaufaniu, w największej tajemnicy się z tem wygadałam; milczałam za życia jego tak długo, nie dałam nawet poznać po sobie, to tem bardziej teraz, kiedy nie żyje... Niech mi Wicunia przyrzeknie, że się ani słówkiem nigdy nie zdradzi, bardzo o to proszę, szczególnie przed Walerkiem!... On był wtedy jeszcze dzieckiem i co on tam mógł z tego rozumieć!... a potem, tom ja go chowała tak, że ojca musiał uważać za ideał, bo dziecku nie do tego, co jest między rodzicami. Dla dziecka ojciec święty, matka święta!... po co dawać zły przykład i zgorszenie?...

Przyłożyła sobie rękę do twarzy i z zakłopotaniem szepnęła:

— Ach, mój Boże, mozem ja źle zrobić, zem to Wicuni opowiedział!...

Obawa jej jednak rozproszyła się na widok synowej, która patrzała na nią od kilku chwil wzruszona i zadziwiona, z najgłębszem współczuciem i szacunkiem, z jakimś wyrazem tliwości i ubolewania; czuła, że ta jedna chwila pociągnęła i zbliżyła ją więcej ku matce męża, aniżeli całych sześć lat przeżytych wspólnie.

Wszystkie urazy, jakie mieć mogła, podzieliły się nagle z jej serca bez śladu; widziała przed sobą tylko nieszczęśliwą kobietę, towarzyszkę niedoli, która w swojej prostocie zwierzała się jej z najboleśniejszej tajemnicy swego życia, z największego zawodu, jakiego w małżeństwie doznać można i odsłaniała przed nią nieznana, nieprzypuszczana nawet stronę natury i charakteru swego.

— To mama także... mama także?... — wyjąkała ciepłym, serdecznym tonem, nie mogąc skończyć zdania, ale dopowiedziała, co czuła, gorącemi pocałunkami, jakimi rękę świekry okrywać zaczęła.

Grosiecka przycisnęła ją ku sobie i ujęła tym objawem współczucia, jakby i jej to ulgę sprawiało, że się miała przed kim zwierzyć, mówiła teraz:

— Ja ci to kiedy jeszcze szczegółowo opowiem, żebyś wiedziała, ale nie teraz... nie teraz. Nie, żebyś miała skarżyć, albo obmawiać, ale ot tak, abys nie myślała, że mi życie po samych różach przeszło. Tylko szal!... moja ty, ani słowa, ani słóweczka przed nikim.

Ucałowały się, pierwszy raz zapewne w życiu tak gorąco i serdecznie, odkąd się poznały i rozumiały wzajemnie.

— No, ale jakżeż to będzie jutro? — zagadnęła wreszcie stara synową, przypomniawszy sobie o właściwym celu swoich odwiedzin; — przecież przyjdiesz do mnie na święcone jajko i dzieci mi przyprowadzisz?... tego mi nie zrobisz, żebyś nie przysłała!... O, do śmierci bym już miała wtedy żal do Wicuni. No, jakże?... prawda, że przyjdiesz?... pomyśl tylko na przyszłą Wielkanoc może mnie już zabraknąć, kto to wiel... a jaby przeciw spokojnie umrzeć nie mogła, gdybym nie wiedziała, żeście się... pogodzili, — dodała ciszej, nieśmiało, jakby się obawiała wywołać odmowę gestem albo słowem Wicuni. — Bo, widzisz, mnie tu właściwie do ciebie, to jest do was, bo i do dzieci, przysłał Walerka. On... on

przyjdzie także na święcone, w południe, więc... przy jajku... moglibyście od razu... cóż?... jak myślisz?...

Patrzała niespokojnie w twarz synowej i zatrzymywała się, wyczekując odpowiedzi.

— Jakżeż moja Wicunia?... żal żalem, a tak i trzeba coś postanowić. Przecież dłużej tak zostać nie może. On... on się poprawi, ja go znam. On jest dobry, jak cię kocham, tak on jest w gruncie dobry, tylko ot, kobiety psują go za bardzo—ale teraz... po takim przejściu...

Wicunia usunęła się przed nią na kolana i tłumionym dotąd wybuchnąwszy płaczem, ukryła twarz swoją na piersiach świekry, powtarzając boleśnie:

— Kiedy ja mu już nigdy nie uwierzę, moja mammo, kiedy ja mu już nie uwierzę!...

Stara głową potrząsała, w oczach jej przebiegała się troska i smutek, ale na ustach miała słowa, w które może i sama nie bardzo wierzyła:

— Ee, moje dziecko, to się tak mówi—dlaczego nie miałabyś uwierzyć?... Jeżeli będzie dobrym dla ciebie, jeżeli zechce cię przekonać... Małżeństwa się rozchodzą i schodzą w gorszych warunkach... Ot, spróbuj, zobaczysz; zrób to... dla tych robaków biednych, jeżeli nie dla siebie...

Odezwał się w niej znowu instynkt matki i ta miłość dla jedynaka, która jej serce wypełniała, więc rzekła:

— Nie trzeba go sądzić za surowo, moja Wicunia; on jest dobry, ja cię zapewniam, że jest dobry. Ja go przecież znam na wylot. Trzeba tylko umieć z nim postępować...

W dalszych pokojach dały się słyszeć nagle głosy kobiece i śmiech Krotowicza, który panie odprowadzał z rezurekcyi.

Grosiecka otarła szybko twarz i podnosząc Wicunię, rzekła:

— No, ja teraz już pójdę... tam, słyszę, przyszedł z kościoła, ktoś obcy jest z niemi; na mnie czas, bo samej późno wracać do domu... Więc jakże?... czekać was jutro, prawda?... prawda, że przyjdziecie i dzieci mi przyprowadzisz, i... Pan Bóg resztę sam załatwi. Zobaczysz, zobaczysz, wspomnisz moje słowa!...

Zaczęła się szybko żegnać i tylko jeszcze zajrzała do pokoju dzieci na chwilę, aby się tym „spiącym robakom“ przypatrzeć a potem cicho, przez kuchnię, drugimi schodami wyszła, aby się nie spotkać dziś jeszcze z Lidzką.

Wicunia z oczyma spuchniętymi od płaczu, z twarzą zaczerwienioną, wróciła do siebie i stanęła przy oknie z rękoma załamane, pytając się w duszy:

— Co ja mam zrobić?... co zrobić?... co zrobić?...

Nagle za sobą usłyszała kroki siostry, która weszła do pokoju; zbliżyła się do niej i nie przeczuwając niczego, zarzuciła jej z tyłu ręce na szyję a głosem uradowanym i wzruszonym zarazem obwieściła jej do ucha nowinę:

— Wisiu, wyobraź sobie, Krotowicz mi się oświadczył na rezurekcyi!...

Zaczęła ją ścisnąć i całować, nie zauważywszy nawet w półmroku zmiany w jej twarzy, ani tych oczu pełnych jeszcze łez, ani tych rozpalonych policzków, ani tych warg drżących i zaciśniętych zębów, aby przez nie nie przecisnęło się na cały głos rozpaczliwe pytanie:

— Co zrobić?...

Nie zauważyła, bo zanadto sama była szczęśliwą w tej chwili.

VI.

W domu babuni Lidzkiej zapanował przez święta nastrój bardzo pogodny i wesoły: Stasia wychodziła za mąż za Krotowicza, Wicunia wracała do męża.

Znaczenie obu tych wypadków w rodzinie podnosiło się wzajemnie, dopełniało niejako i ważyło ze sobą.

Najbardziej jednak zadowolone okazywały się dzieci, gdy im zapowiedziano, że wrócą do ojczulka, z którym u babci Grosieckiej na święconem spotkały się po raz pierwszy.

Głosiły tę nowinę wszystkim, zaczawszy od służ, którym opowiadały, że ojczulek powrócił z Ameryki i zabiera je znowu do siebie a skończywszy na Krotowiczu, któremu po raz dziesiąty powtarzały:

— Panie, pan wie, że my idziemy do domu, do naszego domu?... pan wie, że my już tu mieszkać nie będziemy?

Pakowały się, zbierały, żegnały ze wszystkimi kątami i niecierpliwie, chodząc w kapeluszach na głowie po pokojach, obławowane swoimi zabawkami i gracikami, naprzykrzając się matce:

— No, mamusi, czemu my nie idziemy raz do tego domu?...

Im jednym, najpilniej było wracać do siebie; ta zamiana zajmowała je najbardziej, podobala się im i sprawiała wielką uciechę.

— Wiesz Pola, pojedziemy dorożką!—z zadowoloną miną obwieszczały nadzwyczajną nowinę swojej siostrzytce; — het, het pojedziemy do ojczulka!... aha!...

I doczekały się wreszcie tej ważnej chwili,—pojechały nawet dwoma dorożkami, bo na jedną trudno się było zabrać całej gromadzie.

Tatuś, jako starszy wiozł baranka babci Grosieckiej, z którym rozstać się nie chciał, Munio ogromne jajo z cukru, które im przyszedł wujaszek ofiarować na święta.

W domu powitała je pierwsza pocziwa Maryanna na progu, całując z wielkiej radości wszystkich po rękach; mieszkanie było okurzone, przewietrzone, we wszystkich pokojach porobione porządki, nawet na stolikach stały bukiety; na przyjęcie powracającej pani i dzieci cały dom przybrał wygląd świąteczny.

Walery nawet był zmieniony; po rozmowie z żoną na cztery oczy u matki miał jakąś minę zakłopotaną i dziwną, próbował być swobodnym a wydawał się skrzepowanym i jakimś nienaturalnym.

Co sobie tam powiedzieli w tej długiej przeszło dwugodzinnej rozmowie zamknięci sam na sam w sypialnym pokoju matki, pozostało tajemnicą tych czterech ścian, ale dziwna rzecz, Wicunia wyszła blada, spokojna, zrezygnowana jakaś i poważna nadzwyczaj a on miał minę zmieszana i upokorzona człowieka, który stracił pewność siebie i do równowagi dojść nie może.

Rozczarował się; myślał, że ta zgoda przyjdzie łatwiej do skutku i że wszystko da się zmazać, jak tablicą gąbką, wszystko od razu się naprawi i zapomni.

A tymczasem stało się inaczej.

Odzyskiwał wprawdzie żonę, ale jakąś nie całą, nie tę samą, która go porzuciła, jakąś Wicunię inną, łagodną, dobrą, przebaczącą, ale chłodną i nieprzystępną, zamkniętą w sobie i trzymającą się od niego zdaleka.

Za nic w świecie nie chciała mu się dać pocałować, nie uśmiechnęła się ani razu, nie przemówiła ani jednym słowem: pierwsza do niego.

Powtarzała mu z naciskiem tylko:

— Jedyna rzecz, która nas łączy znowu—to nasze dzieci. Proszę pamiętać o tem.

Odsuwała jego rękę, ile razy chciał ją w pół objąć, nie mogła spojrzeć mu prosto w oczy, zadając sobie widoczny przymus, by być dla niego uprzejmą i przyjmować jego usługi.

Wracała do domu, jak ofiara, z poddaniem się losowi, którego nie mogła zmienić ale ze świadomością poświęcenia, które czyniła.

— Ha, cóż moje dziecko, żona powinna iść za mężem!—powiedziała jej, westchnąwszy babka, gdy wróciwszy od świekry po widzeniu się z Walerym, przyniosła jej wiadomość o pojednaniu z nim.

Skloniła wtedy głowę z rezygnacją, ale w myślach stało jej pytanie:

— Czy każdym?...—nie wymówiła jednak głósno tych wyrazów, które się jej samej wielką ironią życia wydały.

Poszła za mężem z obowiązku i przez wzgląd na przyszłość i szczęście swoich dzieci, nie pytając już więcej, czy sama będzie szczęśliwą.

— Będę, jako matka, — powiedziała sobie i głowę podniosła z wysiłkiem woli i postanowienia.

Na pozór w domu nie się nie zmieniło po powrocie pani, tylko Walery wróciwszy pierwszego dnia do domu wieczorem (musiał choć na chwilę wpaść do teatru, którego parę tygodni nie widział), zdziwił się, gdy swoje łóżko znalazł przeniesione do swego gabinetu.

— Będzie ci tam wygodniej,—odpowiedziała mu spokojnie i zimno żona, gdy ją o powód tej translokacji zapytał...

KONIEC.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

„Chleb“ powieść współczesna Jana Zacharyasiewicza Petersburg 1895 r.).

Tytuł już obwieszcza czytelnikowi treść utworu, tę okrutną walkę o byt, która przy końcu naszego stulecia występuje z siłą przemożną, odbijającą się piętnem nieznanem przeszłości na życiu naszego pokolenia i przetwarzającą jego dawne warunki istnienia. Coraz to więcej ust ludzkich chleba tego potrzebuje, coraz to więcej rąk wyciąga się po niego i dostać go, zapewnić go sobie w sposób taki, aby nietylko trud tych zabiegów nie pochłoniął wszystkich pragnień człowieka, nie kazał mu zginać się ku ziemi tak, aby nie przestał podnosić oczu ku błękitowi niebios, nie szukał szerszych horyzontów, to wielkie zadanie naszej epoki. Autor podjął też w powieści swojej myśl głęboką i żywotną. Ludziom zaczyna brakować chleba na gniazdach ich starych i oto tłumy pędzone pragnieniem łatwiejszego zdobycia go sobie, rzucają siedziły swe wieczne, ciągną kędyś w dal nieznane, aby go tylko zapewnić sobie obficie. „Chleb wydobyty z ziemi ojczyznej jest najzdrowszym...“ ostrzega autor przez usta jednej z osób, które wchodzi w grupę skreślonych przez niego postaci, a które umieścił w tych stronach nad Notecią, gdzie zaczyna już być o chleb ów coraz to trudniej, bo obok tych, którzy się tu porodzili z dziada pradziada, pchają się łaknący go przybysze.

Pierwsza odsłona sceny przedstawia dwór szlachecki: szlachecko - pański, w którym oko ogląda komnaty obszerne a w nich piękne, kunsztowne sprzęty, widać że stare i tem cenniejsze, bo nie znajdzie się łatwo im podobnych, przecież goście, którzy tu w odwiedziny przybywają, nie zajmują się bynajmniej tym widokiem i nie są też radośnie witani. Niemłoda już kobieta w żałobie ma obok siebie podżytego też mężczyznę, który zaraz na wstępie każe jej cynicznie mieć na zawołanie łyż, którymi zmieczyła by pana domu, eleganckiego młodzieńca, bynajmniej nie ucieśnionego z gości, bo kobieta jest jego wierzycielką a jej towarzysz, niemiec Greifer, stanowi jakoby jej straż pomocniczą, bo chodzi tu o własny jego interes. Jest to agent komisji kolonizacyjnej i przywozi tu ze sobą biedną kobietę, bo chce przynaglić pana domu, młodzieńca w pierwszym rozkwicie życia, Witolda Leliwitę, aby stare gniazdo swego rodu, Wierzbowo, sprzedał pod kolonizację i odsłona tej tragedii przedstawia akt pierwszy bolesnego dramatu. Dziedziczne, przez wiele pokoleń w rękę Leliwitów zostające dobra, nietylko wyszły by z jego rąk, ale przestały by tworzyć tę większą posiadłość szlachecką, koło której grupuje się rzęsa wieśniacza, on przecież nie może już utrzymać się na miejscu i pojmuje to jako konieczność.

Wolałby przecież uleść pod siłą przymusu, niż jakoby dobrowolnie aktu tego dopełnić, ale wtedy biedna stara kobiecina nie otrzymała by nic, a dług ten nie spłacony stałby się dlań gorzkim wyrzutem sumienia, choć nie on go zaciągał. Agent komisji kolonizacyjnej daje mu dwadzieścia pięć procent wyżej nad oszacowanie dóbr, które na subhastacyi poszłyby o wiele niżej i kobieta zalewa się gorzkimi łzami, bo wie, że w takim razie suma jej spadła by niewątpliwie. Co robi ze sobą i z trojgiem dzieci? pyta rozpacznie, lecz Witold przysięga jej, że nie nastąpi to nigdy, nie ma przecież siły skończyć od razu z agentem, który odjeżdżając obwieszcza, że niemniej wróci tu za dni parę i jest to niewymownie wzruszający prolog powieści. Młodzieniec, zostawszy sam, przyeiska też głowę do szyby okna, i z rozpaczą w sercu patrzy na drogie mu miejsca, lecz przystępuje do niego wkrótce jako-

by anioł stróż, młoda jego siostra, Marta i zaczyna się między rodzeństwem rozmowa bolesna; on przedstawia jej położenie, wykazuje w argumentach niezbitych stan ich mienia, wykazuje, że sprzedanie Wierzbowa komisji byłoby jakimkolwiek ratunkiem — ratunkiem nie tylko grosza, ale honoru i sumienia, pamięci ich ojca, czyż zatem nie należy mu tak uczynić?

Z ram starych portretów patrzyły na nich smutnie wyblakłe już oblicza dziadów i pradziadów. Był między nimi jeden, znajdujący się niegdyś pod Grundwaldem, przecież tak brat już jak siostra, zdecydowani idą do dziadka, lecz zastają tam obok niego gościa, krewnego po kądzieli, noszącego nazwisko niemieckie. Zowie się Szole, lecz bynajmniej Niemcem nie jest; dziad jego przebywał ongi w Turcji, w Egipcie i tam umarł, ojciec urzędował niegdyś w Poznaniu, ale przeniesiono go gdzieś nad Ren. Matka umarła też młodo, dręczona tęsknotą do miejsc rodzinnych a smutny wdowiec za jakiegoś jakoby nieuszanowanie woli Bismarcka dostał krótko dymisy i kazano mu w dodatku odsiadywać karę aresztu, aż śmierć przyszła nakoniec ulżyć życiu i syn nauczony bolesnem doświadczeniem dołi rodziców, postanowił iść taką drogą życia, wśród której mógłby się oprzeć o podstawę pracy, zależnej tylko od własnej jego istoty. Bardzo piękna jest ta rozmowa, którą w tym przedmiocie skreślił autor, między starym Leliwita a Szolem. „Każda praca jest uczciwą, a każdy chleb smaczny, jeżeli uczciwie zarobiony...” mówi sędziwy ten starzec, dodając przecież, że chleba tego są dwa gatunki. Jeden wymaga tylko uczciwej pracy, drugi nakłada na człowieka, oraz jego potomków obowiązki, z którymi łączyć się musi enota wyższa — obowiązki żołnierza na placówce, które są nieraz ciężkie i trudne do spełnienia.

Takim jest moralne założenie powieści. Wyowiada je w wyrazach szlachetnie podniosłych stary Leliwita, którego były one jakoby testamentem, gdyż wzruszony niemi starzec umiera i autor przenosi rzecz nad Spree, do Berlina, gdzie czytelnik spotyka Witolda, który już uregulował swoje interesy, to jest sprzedał Wierzbowo komisji kolonizacyjnej i znajdujemy go teraz w Berlinie, w towarzystwie starszego Szola, Witold otrzymuje przecież poparcie dla ducha od siostry bardzo mu drogiej, która w towarzystwie starej służącej niegdyś piastunki swojej, przybywa do Berlina, a jest to postać kobiety szlachetnej o woli silnej. Ciotka przyjęła w dom swój sierotę, niewielki kapitalik, starczy procentem swoim na to, aby zaspokoić mogła osobiste swe potrzeby, Marta przecież myśli przezornie o przyszłości: o takich podstawach bytu, aby nie była zmuszona żyć na chlebie łaskawym i przyjechała też do dużego miasta po to tylko, aby się nauczyć jakiejś pracy, mogącej dać utrzymanie życia niezależne.

Brata to martwi. Czyż z domu ciotki nie mogła by wyjść dobrze za mąż, ale ona potrzasa głową; nie twierdząc bynajmniej, aby głównym motorem czynów ludzkich stał się pieniądź, wie przecież, że warunki obecnego układu życia trudne są i trzeba się liczyć z niemi. Zapytuje też Witolda, czy wzięłby żonę, nie posiadającą żadnego posagu? młodzieniec twierdzi żywo, że uczucie powinno tu rozstrzygać przedewszystkiem, dodaje przecież ze smutkiem, że czasy są ciężkie — ciężkie bardzo...

On dźwiga na sobie wielki obowiązek: ród jego zasłużony ogółowi nie powinien zmarnieć i w tym to celu zbliżył się do kuzyna swego Henryka, urzędującego w biurze kanclerza, a gdy siostra jego Lina zapytuje go o Szola, Witold smutnie potrzasa głową. Ten ich krewny wykołubił się, został rzemieślnikiem, ślusarzem i tu występuje zasadnicza kwestya powieści: jakim może być zdrowy dla uczciwego człowieka chleb, którym karmi życie swoje? Ow urzędnik niemieckiego państwa musiał wdziać na siebie skórę nową, łódka w której mu było wygodnie płynąć przez życie, poniosła go dalej, niż mógł przewidzieć; nacelnik jego stał mu się swatem, ożeniony z niemką stał się zwolna Niemcem i Witold niespokojnie zastanawia się nad przeobrażeniem takim, niemniej stosunki jego z Henrykiem nie zrywają się, a przeciwnie bardzo ścisłymi się stają, bo kuzyn wprowadza go w dy-

stygowany świat Berlina. Hrabina Herminia von Hohenest, bogata wdowa, prowadząca dom otwarty, ma przy sobie powabną siostrzenicę Idę, którą pragnie wydać zamaż dobrze, bo jest bogatą i spotykamy się tu z Witoldem, którego dziwi różnorodność gromadzących się tu gości, ale nie ma on dość czasu, aby zastanawiać się nad tem głębiej. Ida wywarła na niego pewne wrażenie, nie ma przecież pewnych wiadomości, jakim jest jej położenie majątkowe, więc trzyma serce na wodzy, snadź już zapomniawszy o tem zupełnie, co go uderzało zrazu w kuzynie Henryku. Tylko natury szlachetne, ludzie których uczucia są silne i głębokie, nie ulegają wpływom otoczenia, nie należy się przecież i silnym narażać się na próby, grożące niebezpiecznem tu odpięciem wpływów owych. Z jakim kto przestaje, takim się staje... twierdzi słusznie przysłowie oraz autor, zwłaszcza, że silny, ze szlachetnem uczuciem w sercu, nie naraża się przez naturalne uczucie godności swojej na zetknięcie się z tem co lichy, lub nie odpowiadające przeznaczeniu jego: życia jego zadaniom.

Lepiej też było Karolowi Szole w prostej pracy na chleb, który mógł spożywać spokojny i zadowolony z siebie. Wprawdzie praca jego była ciężka i tak męcząca, że nieraz znużenie łączyło się ze zniechęceniem. Postać Marty przedstawiała mu się też niejednokrotnie w całej aureoli jej słodkiego wdzięku, ale czyż nie zeszedł on już na tak niski szczebel drabiny społecznej, że przestrzeń która ich dzieli, nie pozwalała mu na zbliżenie się do niej. Wiedział, że jest w Berlinie, nie mógł też tak zapanować nad sobą, aby choć ukradkiem, choć niewidzialny nie gonił za jej widokiem i nieraz stawał pod murem przeciwległej mieszkaniu jej kamienicy, nieraz słuchał dźwięków fortepianu, które budziła, razem żałośnie smutny i szczęśliwy, aż raz służąca Marty spotkała go na tych czatach i tak namawiała, aby odwiedził jej panią, którą jego widok niewątpliwie ucieszy, że się zdecydował na to, a przyjęty bardzo serdecznie, darzony nazwą kuzyna, zapraszany aby ją odwiedzał, uczuł się niewymownie szczęśliwym, przecież gdy grać zaczęła, stracił panowanie nad sobą i choć męzka jego natura słabą nie była, lży popłynęły mu z oczu i wypowiedział całą prawdę, że nie śmie zbliżyć się do niej, on prosty robotnik pracujący na kawałek chleba, a ona gromiąc go za to, zapraszała serdecznie, aby był częściej i nie zapominał, że łączy ich węzły pokrewieństwa. Życie każde utrzymuje się chlebem zapracowanym, czy przez nas samych, czy przez przodków, cóż tu zatem jest za różnica, któraby aż dzieliła ludzi?

Wyszedłszy od Marty, czuł się też tak szczęśliwym, że uczucie to pierś mu rozpierało, aż naraz doszły go głosy dwóch rozmawiających ze sobą panów, którzy minawszy go szli przodem. Był to Witold i Henryk; rozprawiali o baronach i baronowych, o hrabiach i hrabinach, a Ida von Hohenest miała tu miejsce pierwsze, i Henryk dowodził Witoldowi, że gdyby się oświadczył, przyjęto by go niezawodnie, a że posag będzie suity nie ma wątpliwości, lecz on dla tego właśnie wahał się i namyślał, czy nie spotkałby się z odkoszem? Przecież nazajutrz uczuł się śmielszym, a nie tylko pieniądź go tu nęcił. Pokochał, pokochał prawdziwie, bo Ida była wdzięczną a przytem umiała być ponętną.

Miłość jego dla Idy, która mu kazała wyrzec się wszystkich świętości uczciwego człowieka, nie była w nim siłą podnoszącą ducha. Przestał już nawet rozumieć, co jest godnością, zacnością w człowieku; osuwając się zwolna i niemal bezwiednie, zeszedł na ostatni tu szczebel, mimo przestroż, mimo usiłowań siostry, aby go powstrzymać, bo są pochyłości, które siłą nie dającą się już zahamować każą nam osuwać się w dół i autor to właśnie uczynił powieści swej idea.

M. Illicka.

TRZY CHWILE

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

Okno w pokoiku na pierwszym piętrze obszernego dworu w Jagodnej otworzyła zgrabna rączka. Świeża twarzyczka Kici Niemierzyckiej wyjrzała na świat Boży ciekawie. Milord, ulubiony jej wyżeł, przechadzający się pod oknami swej pani z niewzruszoną powagą, instynktem wiedziony, podniósł mądre ślepie w górę i zamruczał radośnie, gdy Kicia skinęła mu główką przyjaźnie. Wraz potem, śliczny marsik pojawił się na jej twarzy. Kicia, popatrzyła na niebo zewsząd zaciągnięte chmurami i niezadowolona szepnęła: Rozkoszne będą święta! Ludzie snadź nie mało zgrzeszyli w tym roku, skoro im Bóg słońca i zieloności odmówił. A ja się tak cieszyłam: Spojrzała w ogród. — Brrr! Jak brzydko na świecie! Ni trawki, ni fijołków i sasank, śnieg ziemię pokrywa, a zamiast blasków słonecznych i niebios szafiru, brudne, poszarpane obłoki z zapowiedzią najnieprzyjemniejszych jeszcze niespodzianek. Z pewnością, albo śnieg upadnie znowu, albo niebo się tak rozplacie, że wszystkie piękne projekta spełzną na niczem.

Istotnie Wielkanoc, wypadła bardzo wcześniej w tym roku, a długotrwała i niezwykle ostra zima, opóźniła przyjsię upragnionej wiosny. Kicia, po nad wszystkie pory roku wiosnę lubiła. Z jakąż niecierpliwością śledziła zwykle trawę, dobywającą się z pod śniegu leniwie, badała zawiazek liści na drzewach, rozkoszowała się bladoróżowymi pączkami wisien, grusz i jabłoni, przeglądała w strumykach, jak łaza czystych, które większą ilością wód zasilone, bywały zwykle na wiosnę kapryśne i rozlewały się szeroko czy to na łąkach, czy w olszynce, dokąd biegać często lubiła. Tyle cudów, tyle woni, słonecznych blasków i szmerów radosnych! Wszystko wtedy śpiewało hymn wesela, a dźwięczny głos Kici mu towarzyszył. I to było tło, które, poetyczna wyobraźnia dziewczeczki uważała jako godne jedynie wielkiego Święta Zmartwychwstania, wielkiej dla świata całego radości!

„Król Niebieski k'nam zawitał,
„Jako śliczny kwiat zakwitał
„Nad nędznymi się zmiłował
Alleluja, Alleluja!

Śpiewała wtedy i w ogrodzie, i na polu, i w kuchni czeladniej, i z dziećmiakami wiejskimi, i na Rezurekcyi w kościółku parafialnym, i w swoim małym pokoiku na górze. Przepełniona była zachwytem jej dusza młoda, przepełnionem serce i zdumieniem i wdzięcznością i miłością dla Tego, który dla nas w niepojętej Chwale i Majestacie zmartwychwstał racy! Tymczasem w tym roku, wszystko poszło na opak. Święta nadeszły, dziś już Wielki Piątek, na ziemi śnieg leży w najlepsze. Ogródnik ledwo mały pęczek fijołków sztucznie w doniczce wyhodował, a Kicia przecież zdawna do tego nawykła, by wonne z różnobarwnego kwiecica ofiary na ołtarzu składać i zielenią ubierać kościół cały. W ubiegłym roku ile to już kwiatów zakwitło. W lesie liljowe i białe sasanki rozwinęły się tak obficie, że prawie mehu i trawki widać nie było; łąki różowiły się od pierwiosnków, jaskry złociste cały brzeg strumyka umiały, a w ogrodzie przepaść istna fijołków i białych i fijołkowych i pojedynczych i dubeltowych! Dusza się radowała!

To też na Rezurekcyi, kościół wyglądał jak jeden bukiet, a pan Władysław..., Zamknęła okno zniechęcona. Pytanie czy i pan Władysław przyjedzie? Warta wylała... drogi popuste... Może i na Rezurekcyę, rodzice jechać nie zechcą? a już co kwiatów, to znikąd do kościoła się nie dostanie... Ha! trzeba oczywiście zastąpić świeże sztucznymi, ale Kicia wszystkiego co sztuczne nie lubi. Z niesmakiem usiadła przy stolicku i z bibułki kolorowej podobizny róż, fijołków i lilii tworzyć zaczęła. Widocznem było, że zajęciu temu oddaje się machinalnie, bo twarz jej ani na chwilę uprzedniego

wyrazu niezadowolenia i smutku nie straciła. Pieszczocho mamina, ulubienica ojca, pierwsze oczko babuni, ciotek i wujaszków, słoneczny promyk wszystkich domowników i mieszkańców Jagodnej, Kicia, nie łatwo godziła się z koniecznością, przyjmowania nieuniknionych dyssonansów i zawodów w życiu.

— Może panienska pójdzie na dół lukrować mazurki? — spytała wchodząc Bronka, pokojówka i faworytka Kici. A to rady sobie nie dadzą? A żeby panienska wiedziała, jak baby wyrosły? Pani się tak dziwuje, bo to z parzonemi zawsze kram, żeby nie klapły... A tu nie! leciuchne jak pióreczka i w sam raz rumiane. Tylko mazurków, to chyba już nikt zjeść nie poradzi, żeby nie wiem ile gości się najechało... Niech-no panienska pójdzie ubierać ciasto. To taka przyjemna robota!

Kicia wzruszyła ramionami. Dawniej, bywało to dla niej przyjemnością wielką, uwijać się w kuchni, tworzyć fantastyczne na mazurkach i placach desenie, ozdabiać maczkiem lukrem i kwiatami, ale dziś... w obce zawodu jako uczynił jej opłakany stan nieba, niczego jej się nie chce.

— Daj mi pokój!.. rzekła niechętnie. — Kwiaty jeszcze do kościoła nie zrobione.

Bronka popatrzyła na nią figlarnie.

— Pan sam chodził do oficyny zobaczyć, — czy pokój dla pana Cieszyńskiego uprzątnęli porządnie. Ludwik burę dostał że podłoga źle wyszczotkowana... zaczęła opowiadać, strzepując kurz z mebli. Pan mówił do pani jak wrócił, że pewno pan Cieszyński na obiad do nas zdąży...

Na twarz Kici wystąpił rumieniec; szare oczy milutko na Bronkę spojrzały.

— Wątpię — rzekła. — Siedm mil i droga ciężka. Oby tylko nie padał śnieg na nowo... Doprawdy, nie pamiętam takich smutnych świąt!.. Czy przynajmniej ogrodnik dużo borowiny z lasu sprowadził?

— Będzie wszystko panienczko jak należy — odparła Bronka wesoło. Nie dał Pan Bóg pogody, to prawda! ale co to tam u nas! i tak będzie jak zawsze ludno i wesoło. Lokaj p. Cieszyńskiego opowiadał naszemu Ludwikowi, że aby u nas wesołości i wygody nie brakuje. I prawda jest!.. Gorzej tym, co chleba nie mają i dachu nad głową... albo ni jakiej swojej duszy na świecie. Wie panienczka, kiedym zeszłej niedzieli wracała z kościoła, zmęczyłam się i okrutnie mnie nogi bolały. Siadę sobie — mówię — i odpocznę! Obejrzałam się... trochę w bok od traktu stoi w kotlinie niziuchna, z zapadłymi bokami lepianka. Przed nią lepianka kamień leży. Akurat tu sobie usiądę — myślę i usiadłam.

Wtem, z sionki wypełzło jakieś stworzenie ni to pies, ni to kot, taka chudziśka, że wcale poznać nie można, bo jeno co kościśka zewsząd wylaża.

Aż tu! słyszę: Kicieci, kić, kić, kić i coś się we drzwiach rusza. Boże święty! nawet by panienska nie uwierzyła. Nie wiadomo co? Niby człowiek, a chyba nie człowiek... Maluskie, zgarbione od starości pokurezone, jakaś kupka łachmanów jeno, powlokła się za kotem na ściernisko, wypatrując czegoś...

Śnieg trochę zwiąło, myślę sobie: czego ona tam szuka i ten kot... Poczekałam aż wróca. Babinka niosła jakiś korzonek i zdaje mi się, że go do ust kładła... Pochwaliłam Boga po chrześcijańsku. „A co to matuś, w tej norze siedzicie?“ pytam. — „A ino“ odpowiada tak cichutko com ledwo dosłyszała... A któż tam z wami siedzi? pytam znowu. „Nikt! Kociucha jeno, co na przypiecku leży. Sama jestem, samienka z biedą i nieszczęściem mojem — załkała.

— A dawno tu siedzicie?

— „Nie baczę, ale mi się wydaje, co już kilkanaście wiosen łopuchy podłe chaty się zielenią...“

Poszłam za nią do izby. Oj panienczko, aż mi się serce ścisza jak sobie wspomnę. Jak oni tam żyli i ten kot i ta starucha, to nawet wyrozumieć nie potrafię. — Bronka oczy fartuchem otarła. — Mów, mów dalej... zawołała niecierpliwie Kicia, z twarzą pobladłą. Zkądże się tam ta staruszka wzięła?

— Wygnali ją dziedzice z Zalesia panienko odpowiedziała Bronka. Mąż jej był ratajem we dworze, ale jak go raz na przednówku febra chwyciła, tak trzęsła i trzęsła, aż zmożła nieboraka. Na jego miejsce przyszedł inny i z chałupy babinę po-

tamtym wyrzucił. Poszła potem do pałacu o jakiś lichy kącik prosić, ale się nawet nie dostała do pałacu, bo lokaje meldować nie chcieli. Ekonom jeszcze jej podobno plecy batogiem obłożył, że się włóczy, jak żebraczka po dworskim dziedzińcu i za wrota wygnał...

Kicia na dobre się rozplakała. Płacz to był serdeczny, bolesny, niczem nie dający się powstrzymać. Aż się Bronka przelekła. — Panienco, panienczko, o jej, co ja też to zrobiłam najlepszego. Głowa pannusie rozboli... Pani się będzie gniewać, jak zobaczy, że panienska płakała.

— Nie, nie Bronciu — nie bój się... przemówiła wreszcie Kicia. Obmyję twarz wodą i nie znać nie będzie...

Wkrótce potem Bronka odeszła do kuchni, Kicia do okna pobiegła.

Chmury zebrały się jeszcze gęstsze, ciemna opo- na wisiała nad ziemią. Co robić? Do Zalesińskiej granicy kędy owa chatynka stoi, blisko pół wiorsty drogi... Ale to nie! zaraz się wybierze i wróci nim jeszcze śnieg padać zacznie.

Zbiegła szybko na dół. — Mateńko, przyniła się matce zajętej przygotowaniem święconego — nie jestem ci teraz bardzo potrzebna, prawda?

— Nie dziecko! Maryanna mi doskonale pomaga. O co ci chodzi?

— Chcę wybiedz trochę na wieś i oddać wizyty takim biednym matkom naprzykład, którym Bóg nie dał, albo odebrał dzieci... Nie ma im z pewnością kto plaćka świętecznego upiec...

— Dobrze już dobrze! — uśmiechnęła się matka patrząc z rozkoszą na śliczną i łagodną twarz córki. — Tylko ubierz się ciepło Kiciu...

Zaopatrzywszy koszyczek w butelkę wina i rozmaite przysmaki, Kicia dażyła ulicą wioski ku Zalesińskiej granicy. Nie gniewały ją zachmurzone niebiosy, ani prawdopodobna zmiana programu zabaw świątecznych, nawet o panu Władysławie mniej myślała. Pochłaniała ją całkowicie pragnienie, ulżenia smutnej doli staruszki.

Szła szybko, ziębły jej nogi brnące odważnie po śniegu, chłód przenikał na wskrós. Nawykła do samotnych po polu przechadzek, oglądała się jednak trwożliwie w około, bo dziwnie smutnym wydawał jej się krajobraz cały i niebo dziwnie posępne.

Po za wsią, gdzie droga do Zalesia skręcała, stała owa chatynka uboga. Jedyne okienko jakie posiadała, zatkałe było słomą i papierem. Samotna, opuszczona, niczem nie osłonięta od wichru, który na tej wydmie piaszczystej nie lada harce wyprawiać musiał, coraz więcej chyliła się ku ziemi a w około niej, nie było nic, co by świadczyło, że ręka ludzka ma o niej staranie, że ktoś tutaj trzusi się i pracuje, by ją wesprzeć, upiększyć, miłsza dla oka i wygody uczynić. W lecie, lebioda i szerokie liście łopianu ubierały ją nieco swą zielenią, zimą śniegiem otulona wydawała się jeszcze więcej skurczoną i rzadko tylko, bardzo rzadko słaby, błękitny dymek wydobywał się z komina świadcząc o przebywaniu tam jakiejś istoty ludzkiej.

Serce Kici, ścisnął ból serdeczny. Nie wahając się ani chwili, weszła do chaty. Ciemno w niej było, zimno, wilgotno.

Kot zlał powoli z przypiecka i apatycznie patrząc na przybyłą, jak gdyby go już nie na świecie nie interesowało, powlokł się ku oknu, gdzie z wiązki słomy na podłogę rzucanej podniosła się drżąca od zimna i starości babina. Kicia zostawiła drzwi w pół otwarte, bo inaczej w ciemnicy tej, nie wiedziałaby gdzie stąpnąć i obrócić się... Przy mdłym, niepewnym blasku dnia pochmurnego, ujrzała staruszkę śliczną w ubożuchnej swej chatce zjawisko. Na razie pomyślała z pewnością, że to anioł żywy zstąpił ku niej z nieba tak oczy jej odwykły widzieć ludzką jakąś istotę, prócz kota wiernego i przywiązane go towarzysza niedoli.

— Kto to? — pyta wreszcie. — Kto przyszedł?

— Z Jagodnej, ze dworu babusiu — odparła słodko Kicia. — Przyszedł do was w odwiedziny babusiu.

— Ach! — mruknęła obojętnie staruszka, przyglądając się stojącej przed nią dziewczęce.

Lecz te spłowiałe, bezbarwne żrenice niczem snadź już zainteresować się żywiej nie mogły. Przed niemi nie było nic ciekawego ani miłego. Wszystko zostawiły za sobą. To też po chwili krótkiej, po-

wieki ciężko w dół opadły, odwróciła się i jęcząc z cicha ku tapeczanowi, odeszła.

Kicia, onieśmielona nieco, postąpiła jednakże kilka kroków w głąb izby, dojrzała drewniany zydelek i na nim usiadła. Potem z koszyczka przedmiotów różne dobywać zaczęła a bury kot nie odstępował jej ani na chwilę. Przeczuwał ucztę i wzrok błyszczał mu pożądliwie. Kicia nalała kubeczek wina i podała staruszce.

— Wypijcie babusiu — prosiła słodko. — To was wzmocni i orzeźwi.

Staruszka, bezmyślnie, wciąż jakby senna toczyła wzrokiem po izbie. Trudno było odgadnąć, czy widziała lub słyszała co do niej mówiono.

Po chwili zaszeptała:

— Marychna zmarła, Jantosia zmarła, Kubus odszedł i Jasiek poszedł za niemi... Człowiek został jak palec, sam, samienki na dużym świecie.

Żyzy zabłysły w oczach Kici. Nie namysławiając się, poskoczyła ku starej i delikatnymi rączkami szyję jej objęła.

— Babusiu, babusiu... — zawołała z przejęciem — już teraz sami nie będziecie. Będę tu do was zaglądać często, a może was i do Jagodnej zabiorę niedługo. Dobrze babusiu?

Staruszka wstrząsnęła głową przecząco.

— Staram już i nie mocna moje dziecko — rzekła cicho. Do roboty się nie zdam. Ludziom się prędko sprzykrzy staruchę mieć na karku; chatynka oto pusta była, nikt siedzieć w niej nie chciał, zimne to i ciemne... Ztąd już nikt nie wygoni, kociucha się też nędzna jakaś przyplątała, to i siedzimy obie, aż Kostucha z kosą przyleci.

Starowinie w wyschłej piersi coś jęknęło, jakby westchnienie... Żyzy, nie odwilżały już oczu zapadłych głęboko... Wypłakała ostatnie, gdy do ziemi trumienkę wnuczka złożyli. Nikt już jej nie został na świecie.

— Przyniosłam wam świątecznego plaćka, babusiu — zaczęła Kicia wzruszona, — i czepeczek biały i chusteczkę... — W święta też tu do was zajdę, jukiem święconem się podzielić. Babusia pamięta, że to u nas pojutrze Wielkanoc?... — Zobaczcie no, com ja wam przyniosła.

Na brudnej, odrapanej ścianie, zawiesiła wizerunek Chrystusa i zapaliła przed nim kolorową lampkę. Błado-różowy płomyk oświecił izbę. Spojrzcie jeno babusiu — prosiła. Jak to zaraz weselej w chacie się zrobiło!... Nie będzie wam smutno ani samotnie, bo będzie z wami Ten, co o nikim nie zapomina, co Sam cierpiał i bolał...

Z tapeczana ciche ozwało się łkanie. Kicia pogłaskała tulącego się do jej nóg kota i wymknęła się z izby. Wiedziała, że teraz jest już niepotrzebną. Staruszką przed obliczem Ukrzyżowanego o bólu i sieroctwie swojemu zapomni.

Wybiegłszy z chaty, obejrzała się niespokojnie. Szaro jakoś zrobiło się na świecie, obłoki opuściły się nisko i śnieg ogromnymi płatkami padać zaczął. Zła na siebie, że się tak zapóźniła i matkę na niepokój narazi, biegła szybko ku domowi. Lecz co to? W szalonych podskokach przez rowy i zagony pedził ku niej Milord zziębnięty z wywieszonym językiem i błyszczącymi ślepiami. Jakie szczęście! Teraz Kicia niczego się już nie lęka! — Milordzie, Milordzie woła ucieszona, ale otóż i druga niespodzianka! Z Milordem ktoś jeszcze biegnie na jej spotkanie. Pan Władysław! Boże! — jakże mocno zabiło serce! Kicia czuje wyraźnie, że jest bardzo zmieszana i bardzo czerwona, Wiadoma rzecz, że rumieńce zawsze przychodzą nie w porę!

Witam panią! — ozwał się głos dzwiczny tuż przy niej. Nie lęka się pani przenikliwego zimna ani samotnej przechadzki po drodze pustej i śniegiem zasypanej, gdy idzie o spełnienie pięknego czynu. Wdzięczny jestem Milordowi. Jego to instynktowi zawdzięczam, że się w tej chwili znajduję tutaj.

Kicia milezała. Gęsty śnieg obrzucał ich oboje białymi płateczkami, osiadał na włosach, kryształowymi sopelkami operlił rzęsy. Nie ujął jednak wdzięku różowej twarzyczce dziewczeczki, ani błyszczącym jak gwiazdy oczom.

— Panno Kiciu, proszę o rączkę — rzekł pan Władysław, obserwując z pewnym wyrazem radości i zrozumienia, rumieńce i zaambarasowanie pani. Inaczej, niepodobna mi będzie odpowiadać za bezpieczeństwo pani. Śnieg nierówności i wyboje pokrył zdradziecko i prawie drogi nie widać

przed nami.—Pochylił się i wśród płatków śniegowych i futrzanego zarekawka poszukiwał rączki Kici. Zanim była onieśmielona, aby się bronić, wsunął więc sobie pod ramię tę zziębniętą rączkę i nieczuł naraz, jak ciepło rozkoszne spłynęło mu do serca. Skręcili ku demowi. Dobrze im było razem! Białe płatki śniegu wydawały im się pachnącymi różanymi listkami, niebo zasnucone chmurami, miało dla nich błękit przejrzysty, ostry podmuch wiatru pieścił im twarze łagodnie. Było im jasno, wiosennie, mimo, że zamieć śnieżna szalała w około, że utrudniała im kroki, tamowała oddech!

P. Władysław poniósł wreszcie do ust zziębnięte paluszki Kici i pocałunkami rozgrzewać je zaczął. Na to przecież Kicia pozwolić nie mogła. Spróbowała wysunąć rękę...—napróżno.

— Panie Władysławie!—proszę nie całować...—szepnęła drżąc, udając obrażoną.

P. Władysław, pochylił się i zajął jej w oczy.

— Niech panna Kicia będzie grzeczną, rzekł. Całuję zziębnięte paluszki, aby je rozgrzać trochę... — Upewniam, że inaczej nie ośmielił bym się... — Mówił niby całkiem poważnie, ale w oczach czarnych migotały wesołe blaski. Kicia, nie wiedziała, co o tem sądzić.

— Czy pani się gniewa na mnie? — spytał po chwili.

Wicher i szczekanie Milorda zagłuszyło odpowiedź Kici.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Piszą z Petersburga, iż rada państwa zatwierdziwszy wniosek ministerium rolnictwa, mający na celu poparcie przemysłu wiejskiego, przyznała miejsce znaczne przemysłowi kobiecemu, tak co do uprawy lnu i konopi, jak i hodowli zwierząt domowych oraz drobiu. W roku przyszłym kredyt rządowy udzielony będzie w kwocie 80,000 rs., zapomogi dla pracy kobiecej nie zostały oddzielnie oznaczone.

— Rada państwa, ma rozpoznawać wkrótce projekt nowej ustawy aptecznej, w której kilka paragrafów odnosić się ma do przypuszczenia kobiet na kursa farmaceutyczne. Różne zagadnienia i nasuwające się tutaj wątpliwości roztrząsane będą przez członków Rady.

— Delegacja pracy kobiet, przy Warszawskim Towarzystwie popierania rolnictwa, przemysłu i handlu, otrzymała już pierwsze odezwy o zamawianie szwaczek do dworów wiejskich na czas letni. Osoby zajmujące się tą prawdziwie filantropijną i godną poparcia sprawą, cieszą się nadzieją, iż w roku bieżącym znaczniejsza liczba szwaczek, krawcowych, krawciarek, pończoszniczek, będzie mogła pokrzepić siły świeżem wsi powietrzem. Jest to zarazem dogodnością wielką dla pań ziemianek, że pożyteczne te w gospodarstwie rodziny robotnice znajdują się pod ręką w czasie jasnych, długich dni letnich.

— Siostra Bractwa różańcowego przy kościele S-go Jacka (po dominikańskim) Bronisława Szpandrowska, odnowiła starannie i pracowicie chorągiew bractwa, wyobrażającą N. Pannę Maryą Różańcową, oraz S-go Dominika i S-tą Katarzynę. Chorągiew ta, starożytne i artystycznie pięknie dzieło sztuki hafejańskiej, nosi datę 1571 r., co dowodzi że starożytne bractwo różańcowe istniało przy jakiejś star-

szej jeszcze świątyni, gdyż wymieniony kościół zbudowanym był w 1603 r., lecz wtedy była to tylko drewniana kaplica.

— Na wystawie warszawskiego Tow. Sztuk Pięknych, ukazały się w ostatnich czasach dwa dzieła sztuki kobiecej: „Góral“ Z. Stankiewiczowej i „W pracowni“ Otylli Kraszewskiej.

— Konkurs na pieśń jednogłosową, ogłoszony przez redakcję Echa Muzycznego i Teatralnego, zgromadził 81 utworów, z pośród których zakwalifikowano cztery do nagrody, a między temi znajduje się pieśń p. Leokadyi z Myszynskich Wojciechowskiej „Fujarka“.

— Księżna Jabłonowska zamówiła u rzeźbiarza Brodzkiego, przebywającego w Rzymie, figurę Chrystusa dla budującego się jej staraniem i kosztem kościoła, ale rozmiary posągu okazały się za wielkie w stosunku do mającej się wzniesić świątyni i w skutek tego właścicielka tego dzieła sztuki, pragnie je zbyć za cenę 3,000 rs.

— Powieść Rodziewiczówny „Dewajtis“, została przełożona na język niemiecki i wydana w Stuttgardzie. Sprawozdawca czasopisma „Gegenwart“, wygłosił zdanie takie: „Dzieło znanej autorki polskiej, należy do tych rzadkich powieści z literatur zagranicznych, które zasługują rzeczywiście, na przykład. Dewajtis to dąb stuletni, a cała poeseponość natury litewskiej z ciemnymi borami i hardymi, zamkniętymi w sobie ludźmi, otacza ten symbol męskiego narodu, który z konieczności wydaje bohaterów. Opowiadanie sięga głęboko do sere maluczkich i wywołuje świetne wrażenie. Można wprawdzie zarzucić powieści pewną, czysto kobiecą przesadę w charakterystyce, co przecież nie zmniejsza bynajmniej wartości dzieła.

— W Węgrzech kobiety, zostały dopuszczone do służby pocztowej jako listonosze. Minister handlu dokonał tego z uwagi, że w obec coraz to większej liczby nie wychodzących za mąż, należy się otwierać im nowe źródła pracy i zarobku. Zamianował on też na początek sześć kobiet, dając im do roznoszenia przychodzące pocztą dzienniki i inne druki pod opaską, a skoro próba powiodła się bardzo dobrze, wspomniany minister, zamierzył przyjmować kobiety nie tylko jako roznosicielki pocztowe, ale dając im i posady urzędniczek nawet wyższych w różnych gałęziach zajęcia biurowego.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie zawiadamiają, iż projekt nowego kodeksu kar został już przesłany do Rady Państwa dla otrzymania potrzebnej sankcyi tej instytucyi.

— Według doniesień z Petersburga rozpoznawane mają być przez specjalne w łonie ministerium skarbu zorganizowane kolegium rozmaite zagadnienia i wątpliwości, które powstają przy stosowaniu w praktyce prawa co do podatku od mieszkań.

— W powiecie izmailskim, w Besarabii odkryto bogaty i dla archeologów ciekawy zbiór monet starożytnych. Włościanin miejscowy, karczując ogród pod uprawę jarzyn, wykopał spróchniałe drzewo stare a pod niem znalazł skarb, złożony ze starogreckich monet złotych w liczbie sztuk pięćset, a pomiędzy temi było sto trzydzieści sztuk z czasów Filipa Macedońskiego, trzysta czterdzieści cztery z czasów Aleksandra Wielkiego, sześć tarentyńskich. Przeleżały one w ziemi dwa tysiące lat, waga ich przedstawia półjedenasta funta.

— Warszawska archikonfraternia literacka odbyła w sali ratuszowej posiedzenie kwartalne, na którem odczytano sprawozdanie z czynności tej instytucyi za kwartał czwarty. Dochody tej starożytnej instytucyi przedstawiają w kwartale sprawozdawczym 2,097 rs., wydatki zaś 1,122 rs. Na kapelana archikonfraterni zaproszono wikarego archikatedry S-go Jana, ks. Popławskiego.

— Przytułek S-go Stanisława Kostki, mieszczący się obecnie przy ulicy Dzielnej, zostanie przeniesiony na ulicę Starą. W skutek tego ma się wzniesić gmach odpowiedni a cechy: mularski, ciesielski, stolarski i ślusarski, ofiarowały potrzebną tu pracę bez wynagrodzenia, z tym warunkiem przecież, aby rzemieślnicy należący do tych cechów mieli pierwszeństwo przyznane im do schronienia w Przytułku.

— Kasa zasiłkowej pomocy ubogim majstrom rzemieślniczym, założona w 1857 r. staraniem i funduszem hr. Skarżyńskiego Bronisława, a obecnie czynna za pośrednictwem kancelaryi parafii S-go Aleksandra, przedstawia stan swojego mienia: w d. 1-go Stycznia bieżącego roku kasa miała w pożyczkach u rzemieślników, potrzebujących dla pracy swojej nakładu, 12,431 rs.; rozdano nowych pożyczek trzydziestu osobom w kwocie 3,826 rs. Kasa posiada na rozdanych pożyczkach 12,110 rs. a mieści w kasie swojej do rozdania 936 rs.

— Kasa groszowa, mieszcząca się w lokalu ochronny 2-giej przy ulicy Chłodnej, wykazała przy rewizji odbytej przez p. Pawła Olejniczaka, członka tej instytucyi, iż w ciągu ubiegłego roku miała 580 uczestników z kapitałem 3,560 rs. Wypłacono 742 rs. uczestnikom 238 rs., przelano na procent do kasy głównej tej instytucyi i ogółem do Banku państwa 2,654 rs. Pozostało nieprzeleżanego kapitału 164 rs.; łącznie z tem i ze znajdującą się w kantorze Banku sumą, instytucya ta posiada razem 2,818 rs., i coś drobnych.

— Dzienniki lwowskie, donoszą o nowych liniach kolejowych w Galicji, a to: Trzebinia-Skiwce, Piła-Jaworno, Chabawka-Zakopane, Borki-Grzymałów, Kołomyja - Zaleszczyki. Razem, przedstawia to długość 213 kilometrów. Koszt wzniesienia tych kolei obliczono na 8,046 zł. reń., do której to sumy rząd przykłada 1,406,000 zł. reń.

— Galicyjskie Towarzystwo handlowe, wykazało w obliczeniach rocznych z ubiegłego roku, zysk czysty 36,242 zł. reń. Akcyonariusze otrzymali 5% dywidendy, a 5,000 zł. reń., dołączy się do funduszu rezerwowego Towarzystwa.

— Dwaj reporterzy paryscy, puścili się w podróż koło świata na bicyklu i dojechali już do Rzymu, gdzie obecnie bawią. Są to młodzieńcy niezamożni, Ludwik Papilland i Henryk Leroy; wyjechawszy z Paryża na żelaznych swych rumakach, przebyli Niceę, Genuę, Medyolon, Pawią, Livorno, nie posiadając ani grosza i zarabiając w drodze na życie odczytami wyjętymi z gazet miast, które przebywali. W Nicei wydali jednoaktówkę pod tytułem: „En route“ w Rzymie drugą „In viaggio.“ Czasopisma rzymskie nazwały podróżników tych pustakami, jacy też są niewątpliwie, szukającami wrażeń i efektów, a uciekającami od pracy poważnej, która by im kazała zgnać barki i zrosić nieraz czoła znojem. „Tacy ludzie—pisze Kuryer Medyolański—to pasożyty, bo darmozjady.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za cudzą winę**, przez autorkę powieści „Silny duch“. Przekład z niemieckiego ark. 15. **Światło i siła słońca**, przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — **Bluszczy**, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawalewicza (dokończenie). — **Przegląd piśmienniczy**, przez M. Ilnicką. — **Trzy chwile**, przez Wandę Grot-Bęczkowską. — **Kronika działalności kobiecej**. — **Z bieżącej chwili**.

Dodatek obejmuje: **Za cudzą winę**, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“, przekład z niemieckiego ark. 15-ty. — **Światło i siła słońca**, przekład z niemieckiego. — **Przegląd mód**. 21 wzorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie**. — **Dyspozycja stołu**.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 12 Апрѣля 1895 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.